

We Lwowie budują barykady, gotują soljankę, klną i modlą się, żeby „Russkaja armia paszła na ch...”

Wojna i życie

- Bambioszka jedna za drugą. Najgorszemu wrogowi nie życzę. Trzydzieści dni siedziałam w piwnicy, w zimnie, bez prądu. Ogrzewał mnie tylko mój ukochany pies Fieliks – mówi Natasza, która cudem wydostała się z Charkowa. Wciąż nie dociera do niej, że jest już bezpieczna, we Lwowie, gdzie wojnę czuje się – na razie – tylko w powietrzu.

- To rynecek warzywny, gdzie robiłam zakupy, koło mojego domu. Teraz tu spadły bomby! A tutaj, widzisz, zabity... to sąsiad. W domu została moja niedołączna mama, zakleiłam tylko szyby, żeby nie widziała ognia i dymu. Nie wiem co z nią – zawiesza głos pokazując mi zdjęcia, jakie dostała w czasie podróży.

- Ten sumaszedszyj (obłąkany – dop. red) idiot zgotował nam ukraiński Holocaust. Pokaż to światu, opowiedz nasz ból. I podziękuj Polakom, takim jak ty i pan Andrzej (Andrzej Kudlicki, szef tomaszowskiej Fundacji „Aktywne Roztocze” i Biura Turystycznego „Quand” – przywozi pomoc humanitarną, w drodze powrotnej zabiera kobiety, dzieci i seniorów do Polski). Że nas wyciągacie z tego piekła. Będę wdzięczna do końca życia – wybucham płaczem.

„Bieżency” przy koksownikach

Takich jak Natasza są we Lwowie nieprzebrane tłumy. I wciąż docierają ze wschodu Ukrainy kolejni uciekinierzy. Do dworcowej poczekalni, która w nocy zamienia się w wielką noclegownię, trudno wejść. Ludzie koczują pod gołym niebem, grzejąc się przy zrobionych z beczek, koksownikach. Ktoś gra na akordeonie. Wolontariusze rozdają herbatę, kanapki, zupę. Kierują do miejsc, gdzie można się schronić – uchodźcy nocują w halach sportowych, szkołach, teatrach i salach muzealnych. W 700-tysięcznym mieście jest już blisko 400 tys. „bieżenców”. – To katastrofa humanitarna – ogłasza w lokalnym radiu mer Lwowa i apeluje o pomoc do kogo tylko się da. Zwłaszcza że ze sklepów znikają zapasy. Brakuje leków, środków higienicznych, wymiotło kasze, konserwy, makarony, w bankomatach brakuje pieniędzy, na stacjach benzynowych – paliwa.

Niektórzy „bieżency” nie chcą jechać za granicę, chcą przeczekać najgorsze. Mają nadzieję na powrót do rodzinnych stron. Ci zostają we Lwowie albo trafiają do tworzonych naprędce ośrodków. Do dwu z nich w Jaworowskim Parku Narodowym i w mieście Ivano Frankowe właśnie ze Zwierzyńca, Roztoczańskiego Parku Narodowego oraz firm Ambra i Jobon trafiła pomoc humanitarna. Głównie łóżka, materace, koce, śpiwory, karimaty, ale też leki, agregaty i żywność. Nie mieli tam nic – z drewna wycinanego z lasu zbijali prowizoryczne łóżka. Tam, gdzie w ostatnią niedzielę (13 marca) spadły rakiety na poligon wojskowy. Jadę tym konwojem.

Barykady, a zamiast kwiatów... kule

Przejmujący jest widok ciągnącej się na kilometr kolejki do przejścia w Hrebennem, głównie matek z dziećmi. Stoją pod gołym niebem, niektóre w wysokiej ciąży, inne z wózkiem czy maluszkiem na ręku. Autobusy przywożą je z Rawy Ruskiej, Tarnopola, Lwowa, zewsząd. Do bezpiecznego świata docierają na piechotę.

Przy drogach wszechobecne barykady z worków z piaskiem, beczek, opon i pospawanych szyn, tworzących zasieki tzw. czeskie jeże. Przy wszystkich straże obywatelskie z kałachami, często dymiący piecyk, a na nim kociołek z zupą. Trzymają warty non stop.

Największe barykady powstały na drogach wjazdowych do Lwowa. Tu każdy samochód musi przejść kontrolę i, jak na granicy, sprawdzane są dokumenty. Przy drogach zamiast reklam na potężnych bilbordach wiszą hasła, które dodają Ukraińcom otuchy: „Russkaja armia idi na ch...!” czy „Wmiesta cwietow tiebia żdut puli” (zamiast kwiatów czekają na ciebie kule).

Prąd i woda jeszcze są. Nocą wygaszane są wszystkie światła. Na sklepach wiszą ogłoszenia, że w związku ze stanem wojennym „Alkohol' nie pradajotsa”.

Wojna pachnie soljanką

Prohibicja obowiązuje, ale gdzieś w zaułkach i wśród swoich...

- Za Ukrainę! – wychyla stakan bimbru Oleg, właściciel restauracji, gdzie wstąpiłam. Częstoje pyszną soljanką – nigdzie tak nie smakuje jak we Lwowie. – Wiesz, łykniesz, to łatwiej znieść strach i napięcie. Bo człowiek by zwariował – tłumaczy.

- Tyle pomocy i serca, ile dają Polacy Ukraińcom nie daje nikt na tym świecie – mówi ze łzami w oczach Waljera, policjant, który toruje nam drogę. Za niedługo zabierzemy do Polski jego żonę i córeczkę.

Jadę do katedry. Na parkanie obok wielka tablica ze zdjęciami żołnierzy, którzy zginęli w wojnie z Rosją w 2014 r. i napis „Gieroi nie umirajut”.

Ktoś przyczepił do niej zdjęcie żołnierza, który w tej wojnie zestrzelił ruski samolot i sam zginął.

- Będzie ich więcej. Bohaterów. Co te chłopcy winne? – zaczepia mnie starsza pani z różańcem. Polka, pani Gienia. Modli się dzień i noc.

W katedrze ludzi sporo. W osobliwy sposób brzmi tu „Od powietrza, głodu, ognia i wojny”. Lwów ratuje zabytki, których tu pełno. Figury i rzeźby zabezpieczane są foliami i kartonami, witraże – blachami, cenniejsze zbiory są znoszone do piwnic.

Lalka na sarkofagu

W parku nieopodal wojsko odkopuje schrony z czasów drugiej wojny światowej. Każdy dziś na wagę złota. Na wirtualnej mapie dostępnej na stronie miasta jest zaznaczonych 937 schronów – każdy ma ściągniętą na komórkę i wie, gdzie najbliżej ma uciekać, gdy zawyją syreny. A najpierw zawibruje powiadomienie z kanału na Telegramie: „Uwaga! Powietrzny alarm!”. Tutaj nie ma metra, jak w Kijowie, więc schrony to głównie piwnice w szkołach, uniwersytecie, teatrach, ale otwarte są też kościelne krypty.

- Pierwszym razem uciekłam do schronu w teatrze, a wczoraj siedziałam z córką i wnuczkami w kryptach kościoła św. Piotra i Pawła. Na środku stały trumny i sarkofag, ale co to za strach w porównaniu z tym, co mamy. Mój wnuczek siedział obok trumny z figurką superbohatera, a wnuczka bawiła się na sarkofagu lalką. Ech, znów obok siebie życie i śmierć – opowiada Wiera, profesor fizyki na Politechnice Lwowskiej.

- A my z Liubą pijemy szampana – odpowiada A. Kudlickiemu jego przyjaciel Taras, który prowadzi we Lwowie kafejkę i sklepik. – Trzeba przecież opróżnić butelki, bo każdy robi dziś koktajle Mołotowa – dodaje, uprzedzając pytanie.

Miasto boi się prowokatorów. Codziennie służby lwowskie dostają mnóstwo sygnałów o ich wrogiej działalności. Złapanych oraz tych, którzy żerują na biedzie ludzi, przymocowują taśmą klejącą do słupów w publicznym miejscu. „Ty gadzino! Swołocz', Job twaju mat'. Żeby cię...” – dostają za swoje od przechodniów.

Przystanek Lwów

Dla większości Lwów to tylko przystanek w drodze do Polski lub Zachodniej Europy. Na dworcu spotykam Walerię, jej siostrę i trojkę malutkich dzieci. Zmęczeni i zmarznięci grzali się przy koksowniku. Uciekli z Zaporozża, gdzie niedaleko płonąła elektrownia atomowa. Jechali pociągiem ponad dobę, ściśnięci jak śledzie, bez ogrzewania, a w nocy bez światła.

- Dokąd jedziecie? – pytam

- Dokądkolwiek, żeby bezpiecznie – słyszę.

- A do Polski?

- To marzenie, bo jak?

Chwilę później byli już pod Szkołą Polską nr 10, skąd nasz autokar zabierał do Zamościa rodziny ze Lwowa i te, które tu uciekły z Mariupola, Charkowa, Kijowa.

Jedzie z nami też 22-letnia Polina, utalentowana artystka, która szykowała się do premiery nakręconego z przyjaciółmi filmu. 24 lutego, gdy wybuchła wojna, miała urodziny. – Salut bombowy mnie zbudził zamiast fajerwerków – opowiada. Na jej oczach runął sąsiedni blok. Przez pięć dni stopem przebijała się do Lwowa. Gdy dotarła do przyjaciół do Zamościa, spała półtorej doby.

„Moja siostra Jana z 5-letnią córeczką i rocznym synkiem tydzień przesiedziała w piwnicy w Buczy pod Kijowem. Ciężarówką razem z matkami i dziećmi przerzucili ją za miasto. W pociągu nawet nie mogła zmienić dziecku pieluszki, taki ścisk. 26 godzin podróży, jest we Lwowie i nie ma już siły” – na facebookowej grupie „Tylko we Lwowie” napisała siostra z Gdańska.

- Dzwonimy, zabierzemy – ani chwili nie zastanawiał się Andrzej Kudlicki. I Jana z dziećmi jedzie z nami.

Wśród pasażerów jest też prawie 98-letnia Natalia Siergiejewna, malarka z Charkowa. – Zdążyliśmy zdjąć ze ścian obrazy mamy i schować za kanapę. Nawet nie sfotografowałam, na pamiątkę, bo my już tam nie wrócimy – mówi jej córka Anna. Jadą do Dortmundu, do wnuczki.

- Niech pani zobaczy, jaki chichot historii. To druga ewakuacja mojej mamy – opowiada pani Anna. - W 1942 r. przed Niemcami uciekła na Ural, a teraz przez Ruskimi schronienie dają jej Niemcy...